№ 37. Warszawa, dnia 25 Kwietnia / 7 Maja 1872 roku. Tom I.—Rok I.

WIENIEC

PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs. 1 kop. 35, miesięcznie kop. 45.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2.

Wydawca Hipolit Orgelbrand.

Expedycya główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

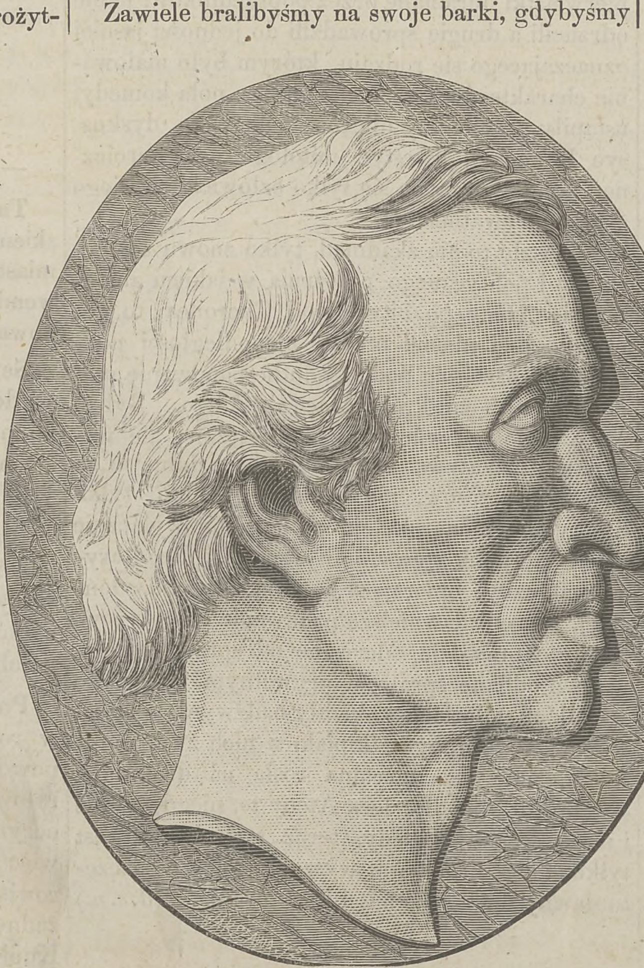
W Cesarstwie Austryackiem: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego kwartał: flor. 3 cent. 25; na prowincyi z przesyłką pocztową, flor. 3 cent. 7?.
W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich i pożytecznych, kwartalnie: flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 52.
W W. Ks. Poznanskiem: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½.
na prowincyi z przesyłką pocztową tal. 2 sgr. 7½.

GENEZIS
KOMEDYI DZISIEJSZÉJ.

Nowoczesna sztuka dramatyczna wykształciła się, jak powszechnie wiadomo, na wzorach starożytnych; ale przyjąwszy podstawy główne, w rozwinięciu szczegółów poszła drogą przez właściwego sobie ducha czasu wskazaną, nabyła samodzielności. W utworze komedyi dzisiejszéj niktby na pierwszy rzut oka nie był w stanie dostrzedz znamion podobieństwa w porównaniu z podobnym utworem komedyi greckiéj. I nic dziwnego: nietylko różnicę w sztuce stanowi różnica pojęć i kardynalnych zasad życia społecznego, nietylko odstęp czasu; ale w jednym nawet i tym samym czasie, przy podobnych podstawach życia, różnicę w sztuce wyradza sama miejscowość społeczeństwa, inny klimat i idące za nim temperamenta ludzi, a to tembardziéj iż sztuka, nierównie więcéj niż wszelki inny objaw umysłowy, zawiera w sobie pierwiastku zmysłowego. Pomimo tożsamości uczuć i przedmiotów, jak różne są cechy malarstwa włoskiego i flamandzkiego, jak różną muzyka francuzka i niemiecka, w jednym i tym samym wieku; jak różne są poetyczne utwory ludów z wybrzeży morza śródziemnego i mieszkańców z pod mglistego nieba Skandynawii.

I sama wreszcie w sobie grecka komedya, jakże różną jest w początku i w końcu swojego istnienia. Prawie nie do poznania: Arystofanes i Menander, są to dwa drogie kamienie, z jednéj powstałe zasady, zbliżone do siebie wartością, ale całkiem odmiennych ogni i barw. Jednakże dwaj ci komedyo-pisarze nie całem od siebie przedzieleni są stuleciem; lecz to nie powinno nas zadziwiać w téj ruchliwości umysłu greckiego, który nadał trzy odmienne charaktery społeczne trzem swoim tragikom, żyjącym prawie współcześnie.

Zawiele bralibyśmy na swoje barki, gdybyśmy tu chcieli szczegółowo charakteryzować każdą pojedynczo fazę greckiéj komedyi, wreszcie poświęciliśmy już temu część naszéj pracy w osobnéj rozprawie (*Kłosy* r. 1870). Tu zamierzamy zająć się ostatnią tylko jéj fazą.



Julian Bartoszewicz.

Rozpatrując się w całym przebiegu komedyi greckiéj, filologowie i krytycy dopatrzyli w niéj trzech zwrotów, które nazwali: komedyą *dawną*, *średnią* i *nową*. Są to nazwy dowolne, czysto chronologiczne, nie wyrażające nic innego tylko pewne znaki porozumiewawcze, każdy jednak z tych zwrotów ma istotnie pewien specyalnie odznaczający go charakter, a cały ciąg na którym rozlegają się te zwroty jest rozwojem komedyi od prostéj buffonady do tego mniéj więcéj charakteru jaki ona przybrała dzisiaj.

Cóż to jest komedya dawna?... Nic innego tylko satyra dyalogowana i wyprowadzona na scenę; krytyka wszystkiego co się niepodobało autorowi, we względzie polityki, religii, nauki i obyczaju; krytyka czynów, opinii, błędów, szałów; krytyka żrąca, jadowita, niemiłosierna, nieszczędząca ani wielkich ani małych, ani talentów, ani geniuszów, ani nawet cnoty. Nie trzymała się ona żadnych zasad, zasadą jéj było widzimi się poety: wyśmiać każdego człowieka i każdą wstrętną sobie opinię, było to jedynem prawem komedyopisarza. Dla tego też wytyka on ludzi po nazwisku, przedstawia ich portrety, naśladując ich ruchy, głos, postawę, aż do odzieży. Nikt, bodajby na najwyższem postawiony miejscu, nie mógł być bezpiecznym od tych swawolnych pocisków komiecznéj Muzy; a rząd ateński, ustępując upodobaniom ludu, musiał się zgodzić na takie osobiste wyśmiewiska jednostek, a nawet własnych swoich ustaw i rozpo-

rządzeń politycznych. Jak pod względem treści, tak i pod względem formy, nie trzymała się ona zasad żadnych. Nie ma ona jedności przedmiotu, ciągu, intrygi, zawiązania i rozwiązania. Sceny jéj następują po sobie, ale niekoniecznie łączą się z sobą przedmiotem lub osobami. Są to raczéj jasełka brzmiące, szydzące, złośliwe, nakształt arlekinad włoskich; ale częstokroć ziejące równie poezyą jak jadem.

Swawola taka dobrą była za czasów Peryklesa, w epoce siły i świetności Aten. Siła nie obawia się nadużyć, werwa satyryczna w saméj potędze życia społecznego znajduje dla się zasilenie. Inaczéj, kiedy życiu temu ubędzie soków pożywnych, jak to się stało z Atenami po wojnie Peloponezkiéj. Na imponującym grodzie Minerwy, zaciężyło żelazne ramię Spartanów, wydarto mu hegemonię, wstrzymano dochody czerpane ze skarbu miast sprzymierzonych. Obywatele strąceni z wysokiego pomostu na którym sterczyli ponad całą Grecyą, stracili ufność w siebie, opuścili ręce, i z zagorzalców stali się obojętnemi w polityce. Nie była to za tem ani pora ani humor do tworzenia satyry politycznéj, a bez ostatniéj nieuczciwości nie można było podówczas ściągać na scenę i smagać chłostą pamfletu tych mężów stanu, których położenie stawało się wcale niezazdrosnem, i którzy wreszcie zbyt mało znaczyli, ażeby mogli zwracać na siebie uwagę publiczną.

Ale po zejściu polityki z planu gorących zajęć ogółu, Ateny nie zmartwiały przecież; w tym bowiem czasie filozofia właśnie dochodziła do swoich szczytów. Pitagorejczycy przenieśli się ze swą sektą z Italii do Aten; Platon i Arystoteles rozpoczęli swoje wykłady; zamiłowanie do dyskussyi i polemiki, rozbudzone przez dawniejszych filozofów i sofistów, weszło w obyczaj grodu. Obok tego kobiety wolnych obyczajów a wyższego umysłu, zaczęły naśladować Aspazyę, tworzyć kółka intelligencyjne, znęcać i zawracać głowy znakomitościom, do tego stopnia, że imie prawie każdego z mędrców złączone jest z imieniem jakiéj sławnéj piękności. Otóż ten ruch umysłów ku badaniom zawiłym, to poszukiwanie zapomnienia smutków i upokorzeń politycznych przy boku piękności, stały się nowym tematem dla komedyi, tak zwanéj *średniéj*.

Komedyopisarze tego zwrotu nie są w swym zakresie ani mniéj śmieli ani więcéj pobłażliwi jak poprzednicy ich z czasów Arystofana. Wytykają oni jeszcze ludzi po imieniu, stali się jednak ogledniejszemi, i sam Arystoteles oddaje im pod tym względem sprawiedliwość.—„ Żart nie jednakowym jest,—powiada on,—w ustach uczciwego i dobrze wychowanego człowieka, i w ustach tego czyja dusza jest nizką i nieukształconą. Taka sama różnica jest w tem, jak pomiędzy dawniejszemi i dzisiejszemi komedyami: dawniéj komedya była napaścią bezpośrednią i bezmierną: dzisiaj ona jest ogledniejszą i więcéj osłonioną.”—I w saméj rzeczy, komedya średnia wyśmiewa to co w opiniach i sposobie wykładu filozofów podawać się mogło do parodyi lub karykatury; ale nie grozi ona zarazem sponiewieraniem i zniszczeniem człowieka, jak to uczynił Arystofanes z Sokratesem.

Nie sądźmy jednak ażeby to umiarkowanie było wynikiem rozwagi i uznania niewłaściwości w podobnem postępowaniu. Bynajmniéj; to tylko skutek zobojętnienia. Dawny komedyopisarz, przyjmujący żywy udział w sprawach publicznych, łżył i bezcześcił demagoga, którego działaniom przypisywał szkodliwy wpływ na dobro ogółu; brał się za bary z największemi potęgami, tępić usiłował wszelkie nowatorstwa, jedynie przez wzgląd na złe jakie w szerzeniu się ich upatrywał.—Komedya średnia nie ma tego zapału, ani téj zawziętości, bo już sprawy publiczne nie obchodzą tyle co przedtem Ateńskiego ludu. Zmuszona jednak bawić go przez cały przeciąg czasu od bitwy przy Aegos-Potamos aż do porażki pod Cheroneą, poziera po wydatniejszych przedmiotach i wyśmiewa co jest lub zdaje się jéj śmiesznem. Dotyka myślicieli, na których dziś, jak dawniéj na polityków, głównie zwróconą jest uwaga publiczna; demaskuje rozpustne kobiety; podkopuje próchniejące podstawy mitologicznego Olympu; zawadza o kwestye literackie, nie szczędząc przytem ani bogów ani ludzi żyjących czy umarłych; — słowem, czerpie przedmioty swoje z najbliższego gruntu, z życia, — że tak powiem—ulicznego. Grunt zasad jeszcze jest od niéj dalekim; — to też i forma téj komedyi, o ile z ułamków i z napomknień wiemy, jeszcze się nie zbliżała do téj jedności dramatycznéj, która w następstwie, równie jak dla utworów tragicznych, koniecznością się stała.

Nie bez tego jednakże ażeby przy takiéj rozliczności przedmiotów jakich dotykała komedya średnia, przy wprowadzeniu zwłaszcza na pierwszy plan elementu kobiecego, nie zaczęły się kreślić jakieś choć niewyraźne kontury charakterów, postaciować uczucia i namiętności. Gdyby choć z kilkanaście całkowitych utworów było nam pozostało z téj epoki, z wielką zapewne przyjemnością wykrylibyśmy tam jasno, szczegółowo i na faktach, rozwijającą się zwolna architektoniczną linię komedyi, doszlibyśmy do stopniowego przeobrażania się luźnych dytyrambów i oderwanych scen arystofanicznych na coraz okrąglejsze całości. Ale mając przed sobą same odrywki i odłamki, śmiele z nich jednak zawnioskować możemy, że komedya średnia jest co do treści i formy, zwrotem przejściowym między dawną jasełkową buffonadą a późniejszym dramatem komicznym. Jeżeli zwrot ten należy opatrzyć mianem jakiego przedstawiciela, będzie nim Antifanes lub Alexis.

Poeci dopiero należący do zwrotu komedyi tak zwanéj nowéj, uporządkowali rozpierzchłe nieco pierwiastki obrabiane przez poprzedników; jedne odrzucili a drugie sprowadzili do jedności jaśniéj oznaczającego się rodzaju, którym było malowanie charakterów i uczuć. Odtąd z pola komedyi ustąpiły przedmioty uliczne, polityczne, dyskussye literackie, kwestye mitologiczne i heroiczne: komedya zajęła się tylko człowiekiem i jego życiem prywatnem.

A poszło to nie zkądinąd, tylko znowu z socyalnego i politycznego położenia w jakiem znalazły się Ateny po bitwie pod Cheroneą, to jest po zupełnéj niemal utracie niepodległości politycznéj i przejściu pod absolutne panowanie monarchy z obozu króla Macedońskiego. Był to wprawdzie byt samoistny zewnętrznie, ale wewnątrz inicyatywa rządu nie szła z dołu jak za świetnych czasów, nie od samego ludu, tylko z góry, od monarchy, który na siebie wyłącznie wziął kierunek spraw politycznych. Rząd arystokratyczny, opierający się na załodze macedońskiéj, zastąpił dawniejsze panowanie demokracyi. Ateny wprawdzie oderwane od spraw publicznych a oddane sprawom prywatnym, pracy we wszelkich gałęziach, zakwitły nadzwyczajnie pod względem dobrobytu, kipiało w nich życie umysłowe, potęga materyalna rosła na drożdżach przemysłu i handlu; lecz Ateny te, niegdyś serce i mózg ludów Hellady, teraz stały się wprost tylko stolicą królestwa, wyszedł z nich do szczętu dawny duch świetności i panowania. (*d. c. n.*)

IDŹ!

(Z WIKTORA HUGO).

Kiedy maj w wieńcu kwiatów na łąki cię wzy-
[wa,
Idź!— Niech będzię zwierciadłem twa dusza wra-
[żliwa
Srebrnéj łunie księżyca śpiącego na fali
I wiosek panoramie rozsypanych w dali.
Niech cały skarbiec wiosny znajdzie w niéj od-
[bicie:
Kwiatów woń, pieśń skowronków tonących w błę-
[kicie,
Szemranie wodotrysku, ciche gwary drzewa,
I olbrzymi krąg ziemi, co się z niebem zlewa.
Idź!—i niechaj gwiazd oczy od wieków patrzące
Przez próżnię i przez zasłon powietrznych tysią-
[ce,
Niechaj gąszcz, co się ptaków rojami zaludnia,
Niechaj chłody poranku, niechaj żar południa,
Niechaj dusza wszéj ziemi strojna dziś wspaniale,
Niechaj światła i mroki, zieloność i fale
Rozwiną, tak obfity na polnym kobiercu,
Kwiat wdzięku w twoich licach, kwiat miłości
[w sercu!

Wiktor Gomulicki.

NA MARNE.

SZKIC POWIEŚCIOWY

przez

HENRYKA SIENKIEWICZA.

— Otoż i Kijów!

Tak mówił do siebie młody człowiek, nazwiskiem Józef Szwarc, wjeżdżając do starożytnego miasta, gdy rozbudzony formalnościami rogatkowemi, ujrzał się niespodzianie wśród ulic i zabudowań miejskich.

Serce zadrgało mu radośnie:—był młody, darł się do życia, więc też wciągnął w szerokie płuca ile mógł świeżego powietrza i z wesołym uśmiechem powtórzył:

— Otoż i Kijów!

Buda żydowska toczyła się z wolna podskakując na wystających kamieniach — Szwarcowi sprzykrzyło się siedzieć w niéj pod przykryciem z płótna, kazał tedy żydowi skierować się do najbliższego zajazdu, a sam szedł obok piechotą.

Potoki ludzi, jak zwykle w mieście, płynęły w rozmaite strony, sklepy błyszczały wystawą, powozy mijały się jedne z drugiemi, kupcy, generałowie, żołnierze, żebracy, mnisi, snuli się przed oczyma Szwarca. Dzień był handlowy, miasto więc przybrało typowy widok tego rodzaju zbiorowisk. Tu nic nie było na darmo: żaden ruch, żadne słowo nie zdawało się być zmarnowane. Kupiec za handlem, urzędnik za urzędem, zło-

dziéj za oszustwem—wszystko goniło przed siebie z jakimś wyraźnym celem, wszystko pchało przed siebie życie, myśląc o jutrze, dążąc do czegoś... a po nad tym gwarem i ruchem unosiła się atmosfera gorąca i słońce zarówno odbijało się w błyszczących szybach gmachów jak w pierwszém lepszém okienku.

— A to zawierucha! myślał Szwarc, który nie był nigdy w Kijowie ani w żadném większém mieście.

— To życie!

I zadumał się nad szaloną różnicą ciasnego życia w małém miasteczku od szerokiéj sceny działania w wielkiém, gdy wtém z zadumy wyrwał go znany dobrze głos:

— Dalibóg Józef!

Szwarc obejrzał się, popatrzał kilka chwil na człowieka, który go nazwał po imieniu, wreszcie roztworzył szeroko ręce i zawołał:

— Dalibóg Gustaw!

Gustaw był to mały i chudy mężczyzna lat około dwudziestu trzech; długie włosy kasztanowatego koloru spadały mu prawie do ramion, krótkie rude wąsy, obcięte równo z ustami, czyniły go na pozór starszym niż był w istocie.

— Cóż porabiasz Józiu? Dla czegoś przyjechał?—Do uniwersytetu? Nie prawdaż?

— Tak.

— Dobrze robisz.—Nędzne bo to życie bez nauki—mówił sapiąc Gustaw. Na jakiż fakultet myślisz chodzić—hę?

— Nie wiem jeszcze, zobaczę—wybiorę.

— Namyśl się dobrze.—Ja tu już rok jestem, to się mogłem rozpatrzyć. Wielu żałuje zawczesnego wyboru, ale cóż robić potém? Wracać się za późno—iść naprzód—nie ma sił. Łatwiéj zrobić głupstwo, niż je naprawić. Jutro zaprowadzę cię do uniwersytetu; tymczasem jeśli nie masz mieszkania każ znieść rzeczy do mnie. Mieszkam niedaleko. Możesz odemnie zacząć; jak ci się naprzykrzę poszukasz sobie innego kolegi.

Szwarc przyjął propozycyę Gustawa, i za kilka chwil byli już w małéj studenckiéj izdebce.

— Hę, dawnośmy się nie widzieli;—rok jak skończyliśmy szkoły, mówił Gustaw ustawiając kuferek i zawiniątko Szwarca.—Rok—kawał czasu. Cożeś robił przez ten cały rok?

— Siedziałem u ojca, który mi nie pozwalał iść na uniwersytet.

— A jemu to co szkodziło?

— Człek był dobry, ale prosty—kowal.

— A cóż teraz pozwolił?

— Umarł.

— Dobrze zrobił — mówił kaszląc Gustaw. Przeklęta astma! dręczy mnie od pół roku.—Dziwisz się, że sapię?.. Będziesz i ty sapał, gdy posiedzisz nad książkami tak jak ja.—Z dnia na dzień, ani chwili spoczynku. A i z biedą gryź się jak pies z psem... Pieniądze masz?

— Mam, sprzedałem domowstwo po ojcu: mam dwa tysiące rubli.

— Setnie!.. To ci wystarczy. Mnie bieda! przeklęta astma!.. Oj tak! Trzeba się uczyć! Zaledwie wieczorem trochę odetchnienia; dzień na prelekcyach, noc na robotę... Ani się przespać! To u nas! Jak wejdziesz w nasze życie, zobaczysz co to uniwersytet! Dziś cię zaprowadzę do klubu, albo po prostu knajpy—trzeba się poznać z kolegami: dziś zaraz pójdziesz tam zemną.

Gustaw bez przerwy kręcił się po pokoju, sapiąc i pokaszlując. Patrząc na jego zgarbione plecy, zapadłą twarz i długie włosy, możnaby go raczéj wziąć za człowieka zmęczonego wesołém życiem niż pracą; ale stosy książek i zapisanych papierów, ubóztwo w urządzeniu izby, aż nadto świadczyły że gospodarz należał do owego rodzaju nocnych kruków, co więdną zgarbieni nad książką i umierają z myślą o kreskowaniu lub niekreskowaniu jakiéjś litery.

Szwarc jednak oddychał pełną piersią atmosferą izdebki; był to dla niego świat nowy i odrębny zarazem.—Kto wie, dumał jakie myśli tryskają z tych głów mieszkających na czwartych piąterkach?—kto wie jaką przyszłość gotują nauce takie poddasza?!

— Poznasz dziś jeszcze wielu z naszych, mówił Gustaw, wyciągając z pod łóżka samowar o jednéj nodze, i podstawiając pod niego dla równowagi stłuczony garnek.... Niech cię nie zraża ten wieczór, ciągnął sypiąc węgle do samowara... Zrobię herbaty... Niech cię nie rażą te szalone po części głowy.—Jak się rozejrzysz w mieście, poznasz, że i tu głupców nie brak, ale są i tęgie głowy. Zresztą zobaczysz. Życie to nasze trochę sztuczne, trochę szalone, ale idzie naprzód niemałym krokiem. Oryginałów nie brak, chociaż i bezbarwności pełno czczéj, śmiesznéj i najgłupszéj ze wszystkich głupot. W jednych głowach się pali, a w drugich ciemno—ot, jak teraz na dworze.

Przez chwilę cisza panowała w izbie, słychać tylko było sapanie i dmuchanie w samowar Gustawa. Rzeczywiście wieczór powoli zapadał, na ściany i podłogę izby padał mrok coraz większy;—ognište kółko odbite z samowara na podłogę zwiększało się lub gasło w miarę jak Gustaw dmuchał, wreszcie woda zaczęła szumieć, sykać i pryskać, Gustaw zapalił świecę.

— Masz tu herbatę. Pójdę jeszcze na lekcyę, mówił daléj, — ty poczekaj tu na mnie, najlepiéj prześpij się na mojém łóżku. Jak wydasz pieniądze, musisz i ty postarać się o lekcye. Nudna to rzecz, ale cóż robić? Jest przytém przykra strona życia studenckiego—ale co tam ci naprzód mówić! Nasz świat i reszta świata to rzecz zupełnie odrębna. Ani nas tu lubią. ani przyjmują; i kłócimy się ze wszystkimi, nawet ze sobą... Trudne życie! Jak zachorujesz, jeśli nie kolega nikt ręki ci nie poda—to los nas ubogich. Ba, zresztą gniewa ludzi, że my komedyi nie gramy, że nazywamy rzeczy po prostu.

— Czarno rzeczy widzisz, zauważył Szwarc.

— Czarno czy nie czarno, odrzekł z gorycżą Gustaw—zobaczysz. A ja ci powiadam, że nie na różach będziesz sypiał... Młodość ma swoje prawa, swoje wymagania. Z tych praw i z tych wymagań w oczy ci się rozśmieją, powiedzą, żeś niedowarzony, nazwą egzaltacyą. A tobie dyabli do tego, jak się to nazywa, kiedy cię to pali lub boli... Zresztą zobaczysz... Nalej sobie herbaty i połóż się spać—za godzinę wrócę, a teraz daj mi tam czapkę i bywaj zdrów.

Przez chwilę słychać było jeszcze sapanie i kroki Gustawa na schodach. Szwarc został sam.

Słowa Gustawa dziwne na nim zrobiły wrażenie. Szwarc pamiętał go innym: dziś w głosie jego brzmiała jakaś zrzędność i zniechęcenie, jakiś ponury nastrój umysłu przebijał się przez te słowa nawpół porwane, nawpół smutne. Dawniéj był zdrów na umyśle i ciele, dziś oddychał z trudnością, w mowie i ruchach jego była dziwna gorączkowość, jak u człeka, który się wyczerpał.

— Czy go tak już zmęczyło życie? myślał Szwarc. Więc to tu trzeba walczyć, trzeba iść przeciw prądowi trochę, a ten biedak widać sił nie miał. Tu trzeba zwyciężyć! Widać, świat nie nazbyt lekką dłonią spoczywa na nas.—Do licha to tu niełatwa sprawa... Gustaw coś bardzo mizantrop, musiał dyabelnie osmalić piórka. Ależ on tu nie próżnuje, więc jeszcze idzie naprzód. Może to tylko skorupa, ta mizantropia, pod którą wygodniéj i bezpieczniéj?.. Ale jeśli rzeczywiście trzeba iść na przebój lub zginąć?—ha!.. to pójdę! zawołał z mocą młody człowiek—lubo w tym wykrzykniku więcéj było stanowczości niż zapału.

W godzinę po owym monologu, sapanie znowu dało się słyszeć na schodach, i w téj chwili wszedł, a raczéj wsunął się Gustaw.

— No, daléj za mną! zawołał. Stoisz w przedsieniu wiru studenckiego życia — dziś zobaczysz jego stronę weselszą.—A nie trać czasu!

Mówiąc to kręcił czapkę w ręku i rzucał oczyma na wszystkie strony, wreszcie przysunął się do stolika, i wydobywszy z niego grzebień, począł czesać swe długie, płowego a raczéj wypłowiałego koloru włosy.

Wreszcie wyszli na ulicę.

W Kijowie naówczas były knajpy, gdzie zbierali się studenci. Okoliczności istniały takie, że nie można było żyć z całém miejscowém towarzystwem. Już to tam owe różne koterye miejskie niechętnie u siebie widziały młodzież, którą dopiero przyszłość miała wyrobić na ludzi. Z jednéj strony, brak statku, gwałtowność słowa, buta i inne przyrodzone zwykle młodości cechy, nie bardzo chciały się giąć do form towarzyskich; z drugiéj, prowincya dostarczała swojskiego żywiołu tylko w czasie zimy lub kontraktów:—jakoś więc uniwersytet zawiązał się w ciało zamknięte w sobie, żyjące życiem książkowém w dzień, klubowém w nocy. Z wielu nawet powodów było to więcéj dobrze niż źle, bo jakkolwiek młodzież wychodziła nieotarta w świecie, za to żartka i do czynów pochopna—ludzi znudzonych i przeżytych między nimi, tak jakby nie bywało.

Nasi znajomi przeszli szybko środek ulicy, kierując się ku oświetlonym oknom klubowego domu. Po pod światło księżycowe można było odróżnić szeroką i silną postać Szwarca, obok zgarbionych pleców i wielkiéj głowy Gustawa. Ten ostatni biegł nieco naprzód, rozmawiając z Józefem lub z sobą na przemiany; następnie zatrzymał się pod oknem, a ujawszy się za gzymsy i podciągnąwszy w górę, jął pilnie rozpatrywać wnętrze kawiarni; wreszcie spuścił się na dół, i otarłszy kolana z wapna, zawołał:

— Nie ma.

— Kogo?

— Albo już była, albo wcale nie przyjdzie.

— Kto taki?

— Która godzina?

— Po 10-téj. Kogo upatrywałeś przez okno?

— Wdowy.

— Wdowy? któż to jest?

— Boję się czy nie chora.

— Znajoma twoja?

— Oczywiście. Gdybym jéj nie znał, tobym się nią nie zajmował.

— No to jasne, odpowiedział Szwarc; chodźmy.

Przycisnął klamkę drzwi: weszli.

Gorąca a dymna atmosfera owiała ich. W perspektywie wnętrza sali widniały różnego wieku twarze, po części obce dla Szwarca. Między kłębami dymu zaciemniającemi światło kinkietów i wybuchami śmiechu błąkały się tony fortepianu, jakby zmęczone a niedbałe; wtórowała im gitara, na któréj od czasu do czasu brzdąkał wysoki chudy młodzieniec z przyciętemi przy saméj

skórze włosami i szramą na twarzy. Długiemi palcami bałamucił po strunach, a wielkie niebieskie oczy utopił w pułap utonąwszy w zamyśleniu. Ten, który siedział przy fortepianie, ledwo wyszedł z dzieciństwa; cerę miał mleczną, włosy ciemne zgarnięte ku tyłowi głowy, słodycz w czerwonych ustach a smutek w oczach; był delikatny i wątłéj budowy ciała a urodziwy. Widać grał tu od dawna bo już czerwone plamy na obu policzkach, zwiastowały w nim wielkie zmęczenie. Tyłem do światła stało kilku Pińczuków, a wszystko chłopy jak dęby, a tak przytém chciwe na wszelaką gędźbę, że byle zagrano w klubie, obstępowali w okół grającego i ze zwieszonemi głowami słuchali muzyki, wzdychając lub radując się z nią razem. Inna młodzież siedziała na ławkach lub krzesłach; kilka młodych dziewcząt, z rodzaju koników polnych prześpiewujących lato,—kręciło się tu i owdzie. Było gwarno; gdzie niegdzie brzękły kufle. W alkierzu obok sali grano zapamiętale w karty, a przez nawpół przywarte drzwi widać było twarz jednego z grających: zapalał w téj chwili cygaro od stojącéj na rogu stołu świecy, a przytłumiony lub wznoszący się chwilowo płomień oblewał od czasu do czasu ostre jego rysy. Bufetowa z doskonałą obojętnością przypatrywała się pod światło końcowi pióra, którym zapisywała dzienne wydatki; obok na stołku drzemała z cudowną równowagą jéj pomocnica, a kot siedzący na rogu stołu otwierał czasami oczy i zamykał je z wyrażem godności i filozoficznego spokoju.

Szwarc obrzucił wzrokiem zgromadzenie.

— Ho! jak się masz Szwarc?! ozwało się kilka głosów.

— Dobrze.—Jak się wy macie?

— Do nas na stałe?

— Na stałe.

— Przedstawiam go jako członka szanownego zgromadzenia klubowego... Ty zaś wiedz raz na zawsze: przychodzić tu codziennie—przywileje: nie wysypiać się nigdy po ludzku — chrypiał Gustaw.

— Jako członka tém lepiéj. Zaraz tu usłyszysz mowę... Héj tam, Augustynowicz, zaczynaj!

Z drugiego pokoju, w którym grali w karty wyszedł młody człowiek o przygarbionych plecach i prawie łyséj głowie. Wyglądał szpetnie rzucił czapkę na stół i siadłszy na krześle tak mówić zaczął: (*d. c. n.*)



Pomnik Juliana Bartoszewicza w koś. Nawiedzenia N. P. w Warszawie, wykonany z marmuru przez Andrzeja Pruszyńskiego.

KORESPONDENCYA

Poznań, w kwietniu 1872.

Stosunki bruku naszego przedstawiają od kilku tygodni ciekawe pod pewnym względem widowisko, widowisko socyalne-finansowe, będące *bezpośredniém* następstwem, jeśli nie naśladownictwem stosunków berlińskich, *pośredniém* wielkich rezultatów ubiegłéj wojny prusko-francuzkiéj. Rezultatem téj wojny stał się rozbudzony do najwyższego stopnia duch spekulacyi finansowéj, wspomagany silnie zaufaniem w trwałości pokoju i łatwością zyskania kapitałów. W obec tych dwóch składających się razem czynników, do których w Berlinie samym przystąpił jeszcze olbrzymi, chorobliwy napływ żywiołów robotniczych z całych Niemiec, napływ uwolniony po zaprowadzeniu prawa o wolności przenosin (Freizügigkeitgezetz) od wszelkich ograniczeń, napływ wreszcie podnoszący nagle ludność nowéj cesarskiéj stolicy Niemiec w przeciągu *jednego* roku o cyfrę stutysięczną,—spadła wartość pieniędzy, podniosła się w odpowiednim stopniu cena wszelkich artykułów życia, a mianowicie nastała niesłychana trudność mieszkań i podskoczyła do bajecznych rozmiarów cena ich najmu. W skutek téj potrzeby, a potrzeby tyle naglącéj i natarczywéj, rzuciła się spekulacya berlińska w dziedziny obmyślania środków dla pomieszczenia wzrosłéj tak niespodzianie ludności miejscowéj, a raczéj wyzyskania takowéj potrzeby na własną korzyść, i odtąd to rozpoczęły się, podobnie jak w Wiedniu, owe zakładania banków, owe „*gründerstwa*” biorące sobie za cel spekulacye budownicze, przebijanie starych ulic, by wznosić nowe, wznoszenie gmachów dla ludności robotniczéj, nieledwie na wzór falansterów Fourierowych. Przedsięwzięcia te, wynikające z chorobliwych stosunków, mają też istnie chorobliwe powodzenie. Tak np. zawiązało się towarzystwo akcyjne mające na celu przebicie nowéj ulicy z Behrenstrasse do Lip, i puściło kilka milionów talarów w obieg z procentem 6%. Akcye te noszą ce w języku giełdowym krótką nazwę „*Centralpassage*” są dzisiaj notowane w buletynach giełdowych z kursem 136 za sto, a *chwilowo* zapowiadają im jeszcze różowszą przyszłość. Stosunki te oddziaływają i na nasze stosunki poznańskie, choć u nas odmienne dużo niż w Berlinie składają się na to przyczyny. Nasamprzód nie można wprawdzie zaprzeczyć, iż do pewnego stopnia jest i w *Poznaniu* potrzeba nowych domów w obrębie miasta, któremu ściskające ze wszech stron mury forteczne odebrały i zniszczyły nietylko otaczający je przedtém wianek prześlicznych ogrodów, ale co większa, odebrały możność szerzenia się i wzrastania w naturalny i normalny sposób. Po za granicami jednakże téj potrzeby, potrzeby istotnéj dla 45-tysięcznéj ludności, ściśnionéj na długiéj i wązkiéj, a małéj w ogóle przestrzeni, są przecięż powody mniéj naturalne niż w Berlinie, które na bruku poznańskim wywołały objawy wielce do berlińskich podobne. Policzylibyśmy na pierwszym miejscu do nich ducha spekulacyi i naśladownictwa, obiecującego więcéj, niż rzeczywistość dotrzymać okaże się w stanie. Poznań zyskuje dwie nowe koleje żelazne, z których jedna, poznańsko-toruńska blizka już bardzo wprowadzenia w życie; Poznań obiecuje więc stać się ogniskiem centralném handlu i komunikacyi pośród sieci kolei żelaznych, wzrość w znaczenie i ludność: otoż więc pierwszy, najpozorniéj jeszcze wyglądający powód poszukiwania gruntów i domów na jego terrytoryum. Następnie, pozostanie rzeczą niezaprzeczoną, że powstanie kilka banków naszych, dających kredyt wekslowy i hypoteczny, pośredniczących zaliczkami w sprzedaży najrozmaitszych produktów, odbierających możność dalszego powodzenia i szerzenia się lichwiarstwu, zwraca całą działalność spekulacyjną kapitalistów innowiernych i innoplemiennych na jedyne pole, jakie im pozostaje, na pole spekulacyi budowniczéj. Jeśli się wreszcie zastanowimy nad najniewątpliwszéj prawdy faktem, iż spekulacya obiera sobie jakoby za uprzywilejowany cel posiadłość miejską znajdującą się w ręku ludności polskiéj, gotowibyśmy prawie przypuszczać, że i chęć zastąpienia ludności téjże innoplemienną, a więc powód wcale niefinansowéj natury, wywiera pewny wpływ na naszą spekulacyę miejscową. Mniejsza jednakże, czy się mylimy lub nie mylimy: pozostaje faktem, iż nigdy, jak Poznań Poznaniem, od najdawniejszych czasów, jakie zapamiętaliśmy, nie było podobnéj namiętności i febry spekulacyjnéj, jaka ogarnia w obecnéj chwili kapitalistów poznańskich. Wszyscy, którzy mają jakikolwiek tylko fundusz do rozporządzania, zwracają się na kupno gruntów do budowania domów, które bajecznie idą w górę. Nie przesadzamy wiedząc, iż jeśli się cofniemy pamięcią o dziesięć lat w tył, a porównamy ceny gruntów i domów poznańskich ówczesne z dzisiejszemi, takowe podwoiły najzupełniéj swą wartość. Czytając sprawozdania codzienne miejscowych dzien-

ników, nie wyczytuje się często nic innego, jak długie szeregi doniesień o kupnach i sprzedażach gruntów i domów, doniesień, z których się przekonywamy, jak mało nabywcom zależy na cenach kupna, a jakie zyski sprzedający z zawartych interesów wynoszą. Pokutnikiem ostatecznym a niewinnym, bo zawsze tylko tracącym a nigdy nie zyskującym we wszystkich tych spekulacyach, zyskach i zarobkach, jest nieszczęsny lokator, skazany dzisiaj za mieszkanie w Poznaniu płacić przynajmniéj dwa razy tyle, jeśli nie więcéj, co płacił przed dziesięciu laty. Trudność mieszkań niesłychana, drogość odpowiednia katora, a nie ma najmniejszéj wątpliwości, iż pod tym względem znaczniejsze nawet miasta niemieckie, jak Drezno lub Wrocław, są o wiele tańsze od naszego Poznania. W obec téj trudności mieszkań, w obec téj spekulacyi budowniczéj, odzywa się też po wszystkich niemal ulicach Poznania stuk rydla wykopującego dawne rudery, stuk młota pracującego nad wznoszeniem coraz to nowych gmachów. Pośpiech w tym względzie niesłychany. Zaledwie znajdzie się na jakim „Św. Marcinie", na jakim „Św. Wojciechu", na Piekarach lub na Półwsi poczciwa chałupka, pamiętająca dawne czasy poznańskie, dziś zakupiona przez spekulanta czy kapitalistę



Kościołek wiejski w Sandomierskiem.
Kopia z obrazu Józefa Szermentowskiego.

nowego autoramentu, a już zrzucana i zwalana na drugi lub trzeci dzień; w przeciągu zaś kilku tygodni wyrasta na témże samém miejscu wspaniała kamienica, mająca już gotowych lokatorów od 1 Października wbrew wszelkim hygienicznym przepisom. Nie dość na tém, zawiązał się tu nawet na wzór podobnegoż berlińskiego, bank akcyjny budowniczy, który sobie wziął za zadanie skupować place i stare domy, wznosić nowe gmachy, przebijać nawet nowe ulice, które zamierza zaszczycać nazwą księcia kanclerza Rzeszy Niemieckiéj: — *Bismarck-Strasse*. Otóż to objaw uderzający dzisiaj na pierwszy rzut oka w Poznaniu i poznańskich stosunkach, objaw, o którym sprawozdawcy niepodobna przemilczeć. Zwracając się od tego obrazu w inną, choć pokrewną nieco pierwszéj stronę, wypada następnie zwrócić uwagę na ruch finansowo-przemysłowy w naszym obozie, dotrzymującym wiernie kroku równego równoległym usiłowaniom przeciwnego. Wszystkie istniejące już banki nasze rozprzestrzeniają swą czynność przez emissyę coraz to nowych akcyj, powstają nadto nowe. Tak np. zawiązał się w tych dniach co dopiero *Bank włościański*, mający na celu przyjść tanim kredytem w pomoc małéj posiadłości ziemskiéj. Tak daléj jest w projekcie nowy bank kupiecko-przemysłowy, nie wspominając już o coraz to nowych towarzystwach akcyjnych, zawiązujących się w różnych celach na prowincyi. Rozprawiwszy się w ten sposób z naszą finansowością i spekulacyjnością, zapisujemy w dalszym ciągu naszéj dzisiejszéj pogadanki nie bez żalu, iż w podobny sposób, jak w pierwszym kwartale bieżącego roku, mieliśmy artystów i artyzmu więcéj, niż ich kieszenie nasze i czas znieść były wstanie, tak w bieżącym całkiem przeciwnie nastała pod tym względem zajzupełniejsza posucha. I tak straciliśmy, po dwóch i pół roku blizko istnienia, stałą scenę polską w Poznaniu. O losach jéj dotychczasowych mówiliśmy już obszerniéj w jednéj z dawniejszych korespondencyj do waszego pisma. Kończąc ją, donieśliśmy wprawdzie o złożeniu dyrekcyi przez p. Stanisława Dobrzańskiego, lecz mieliśmy wszelki powód wierzyć, iż nastąpi rodzaj *Le roi est mort, vive le roi*, że sukcessyę po p. Dobrzańskim weźmie, jak się dotąd kilkakrotnie działo, ktokolwiekbądź inny, a że trwałość sceny narodowéj znajdzie się nam w ten sposób zabezpieczoną. Stało się tymczasem inaczéj. P. Dobrzański wyjechał w początku miesiąca marca do Lwowa, zostawiając reżyserstwo pozostałego tymczasowo na miejscu towarzystwa p. Konarskiemu, jako swemu zastępcy. Zastępstwo to, oddajmy mu w téj mierze należną sprawiedliwość, nie oszczędzało, odpowiednio do sił i zasobów, wszelkich starań, aby wywiązać się, o ile możności, jak najlepiéj z zadania swego. Grywano trzy razy tygodniowo sztuki, na jakie siły towarzystwa starczyły, sprowadzono nawet w połowie miesiąca marca na kilka gościnnych występów śpiewaczkę warszawskich teatrów, pannę Kwiecińską, która znalazła nader sympatyczne przyjęcie ze strony publiczności, a któréj śpiew miał być zarazem śpiewem łabędzim sceny polskiéj w Poznaniu. Dnia 24-go marca nastąpiło pożegnalne przedstawienie towarzystwa, które następnie się rozwiązało. Większa część jego członków znalazła pomieszczenie w scenie lwowskiéj, mniejsza w krakowskiéj, kilku niedobitków pozostało bez zasobów i bez środków utrzymania w Poznaniu.... Na prowincyi, między Śremem, Środą a Gostyniem daje przedstawienia, podobno nie bez powodzenia i utrzymuje się jeszcze w charakterze istnego partyzanta teatralnego ze szczupłém gronem artystów dramatycznych, rutynowany zresztą i niezły aktor, p. Kaliciński. Stolica nasza prowincyonalna natomiast pozbawiona sceny narodowéj, czuje dopiero po téj stracie, jaką wartość miało to, co straciła przez ubytek teatru, choćby nawet takiego, jaki był. W pierwszych dniach czerwca zapowiadają nam na kilka tygodni przyjazd sceny krakowskiéj pod dyrekcyą p. Stanisława Koźmiana, a pod umiejętném reżyserstwem p. Józefa Rychtera. Nie rozwiązuje jednakże to pożądane w każdym razie przybycie problemu istnienia stałéj sceny polskiéj, któréj byt odroczony znów *ad Calendas Graecas*, jakkolwiek zbierają u nas fundusze teatralne i zawiązują towarzystwo akcyjne na wystawienie teatralnego gmachu. W maju ma się tu odbyć wystawa rolniczo-przemysłowa, która z razu miała mieć charakter prowincyonalny bez różnicy narodowości, która jednakże w skutek różnych okoliczności i orzeczeń z różnych ust, jakie miały miejsce ostatniemi czasy, ograniczy się wyłącznie tylko na producentach niemieckich. Zapowiadają na tę wystawę przyjazd księcia Bismarcka, co wszakże jest rzeczą wątpliwą. Natomiast przygotowują już nader skrzętnie pole wystawy, między starym a marchijskim dworcem kolei żelaznéj, stawiają płoty, wznoszą dla publiczności trybuny. W razie, jeśli wystawa ograniczy się istotnie tylko na prowincyę, a rzecz cała ograniczy się na udziale producentów niemieckich, nie ma widoków, aby miała szczególne powodzenie. Jak ogólnie zapewniają, przyjdą przecież w pomoc przemysł i rolnictwo całych Niemiec, a tak wystawa odbywająca się pod firmą *prowincyonalnéj*, może nawet być bardzo świetną.

POMNIK JULIANA BARTOSZEWICZA.

Dnia 17 stycznia r. b., w pięćdziesiątą pierwszą rocznicę urodzin znakomitego badacza historycznego polskiego, Juliana Lemnickiego Bartoszewicza, przy uroczystém nabożeństwie żałobném odsłoniono dlań pomnik w kościele Opieki Św. Józefa na Krakowskiém-Przedmieściu w Warszawie. Kościół ten, który według własnego wyrażenia Bartoszewicza należałoby nazywać „akademickim,” gdyż od r. 1815 ciągle się w nim nabożeństwo dla różnych szkół odbywało, który przygarnął już pomniki dwóch mężów wysoce zasłużonych w piśmiennictwie i na arenie czynnego życia publicznego, najwłaściwiéj obrano za miejsce na wzniesienie pamiątki ku uczczeniu przewodnika młodzieży i historyka, pracowitością, nauką i miłością krainy rodzinnéj nieustępującego Czackiemu i Brodzińskiemu. Pomnik umieszczony na jednym z filarów głównéj nawy świątyni, wykonał z cierpliwém zamiłowaniem i poczuciem wymagań sztuki p. Andrzéj Pruszyński, z białego i szarego marmuru włoskiego w stylu odrodzenia. Na wzniesienie téj pamiątki złożyły się ofiary publiczne „ziomków” historyka, w których też imieniu przekazano ją potomności.

Nie możemy się tutaj ani rozwodzić nad obfitym w przygody żywotem Bartoszewicza, ani wyliczać całych secin prac jego większych i mniejszych, już to drukowanych osobno, już rozrzuconych po czasopismach i dziełach zbiorowych, już wreszcie pozostałych w rękopiśmie, całkiem przygotowanych do druku lub stawiących surowy materyał, nad którym ręka mistrza zastygła pod tchnieniem śmierci. Inni już zebrali te szczegóły biograficzne i porobili długie spisy jego utworów; my poprzestaniemy na zarysie charakterystyki badacza.

Julian Bartoszewicz pochodził z rodziny litewskiéj, któréj gniazdem był powiat Wiłkomierski; urodził się dnia 17 stycznia 1821 w Białéj Radziwiłłowskiéj na Podlasiu, z Adama nauczyciela i inspektora szkoł, obecnie emeryta zamieszkałego w Warszawie, i Amelii z domu Sengtellerówny. Pierwotne wychowanie pobierał w Białéj, następnie kształcił się u Pijarów w Łukowie i w gimnazyum na Lesznie w Warszawie, studya zaś uniwersyteckie odbywał w Petersburgu na wydziale filozoficzno-historycznym. Po ukończeniu nauk poświęcił się zawodowi nauczycielskiemu: najprzód w Warszawie potém znaglony okolicznościami w Końskich, następnie znowu w Warszawie, wykładał na przemiany język łaciński, historyę polską, język i literaturę polską. Był jednym z założycieli Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie, redaktorem czas jakiś *Kroniki Wiadomości krajowych i zagranicznych*, członkiem rady opiekuńczéj szpitala Dzieciątka Jezus, oraz kustoszem Biblioteki Głównéj, któréj niemało się zasłużył szczególniéj uporządkowaniem i spisywaniem treści rękopismów osnowy historycznéj. Cały ten jednak różnostronny zawód publiczny, nie wyjmując nawet nauczycielskiego, był dla Bartoszewicza zadaniem drugiego porządku: na czele stała dlań przeszłość kraju, jego burzliwe i spokojne koleje, jego rozległy żywot zewnętrzny i na pół zatarte ślady przeobrażeń wewnętrznych ducha, jego rozgłośne obrady sejmowe i dawno już zamilkłe ciche szepty przy rodzinném ognisku. Otoczony księgami i papierami, rozrzuconemi w najfantastyczniejszym nieładzie po wszystkich stołach i kątach ustronnéj izby na Sewerynowie, tutaj dopiero czuł się panem samowładnym, hetmanił niepodzielnie nieprzebranéj rzeszy wypadków. Tutaj żył pełnią żywota i tutaj zapracował niezatartą dla siebie kartę w historyi.

Ze wszystkich rodzajów pracy literackiéj Bartoszewicz wybrał sobie najzmudniejszą i najtrudniejszą w wykonaniu: — drobnostkowe badanie szczegółów i układanie z nich jakby z listków różnowzorego szlifowanego kamienia obrazów mozaikowych, gdzie każdy odcień kolorytu nie z pod pendzla subiektywnego zapatrywania się historyka na przeszłość, lecz z samego materyału historycznego wytryskać powinien. Widząc, jak dalece zebrane przez poprzedników materyały nie były ani dostateczne, ani należycie do podobnego obrazu obrobione przez krytykę, jął się ich gromadzenia nietylko ze wszelkich możliwych źródeł drukowanych, lecz i z archiwów publicznych, z bibliotek klasztornych, ze zbiorów prywatnych, z napisów nagrobkowych i t. p. Nie poprzestając na tém, śledził z uwagą wszystko cokolwiek w piśmiennictwach ościennych zjawiało się przydatnego dla badacza przeszłości polskiéj, a zwłaszcza w literaturze historycznéj niemieckiéj i rossyjskiéj. Szczególniéj ta ostatnia, prawie nietykana jeszcze przez Lelewela i jego współczesnych, skutkiem przedsięwzięcia w niéj ogromnych wydawnictw zbiorowych dokumentów i kronikarzy, jednocześnie prawie zwróciła na siebie uwagę pierwszorzędnych badaczy naszych Bartoszewicza, Bielowskiego i Stadnickiego, a przy umiejętném użyciu niemało przyniosła korzyści dla wyświecenia przeszłości rodzinnéj, zwłaszcza też dziejów Litwy i Rusi litewskiéj. Wszystko to jednak, poczynając od twardoustych kronikarzy opisujących zamierzchłe czasy świtania historycznego, aż do wonnych złotobrzeżnych liścików francuzkich XVIII stu-

lecia, aż do subtelnych wywodów współczesnéj krytyki historycznéj, było dla Bartoszewicza jedynie materyałem surowym, który rzec można siekał i macerował chemicznie, nim na właściwy użytek obrócił. Ztąd na faktach przezeń podawanych w obrobieniu historycznem, a znajdziesz ich w jego pracach całe tysiące, można polegać jak na pewnikach.

Miał Bartoszewicz sposób pisania sobie właściwy, przypominający technikę Lelewela, lecz żywszy i jaśniejszy, polegający na składaniu opisu historycznego z wyrazów i frazesów źródłowych odpowiednio przystosowanych, z tego względu wielce podobny do sposobu pisania najznakomitszego naszego mówcy kościelnego Piotra Skargi, w którego dziełach Pismo Św., Ojcowie kościoła i własne słowa autora zlewają się w jedną bronzową całość. Sposób ten pisania nadzwyczaj trudny a prawie niepodobny do naśladowania, bo wymagający bezwarunkowego panowania nad przedmiotem i uprzytomnienia wszystkich jego szczegółów w pamięci, jeszcze bardziéj utrudniał sobie Bartoszewicz wyborem przedmiotów. Rzeczy znane, opracowane należycie, nie nęciły go zgoła; potrzebował przedmiotów całkiem nowych, albo przynajmniéj nowych faktów przedstawiających daną chwilę historyczną w inném świetle: od dorywczych recenzyj zamieszczanych po czasopismach aż do dzieł tomowych, wszystkie jego prace mają na sobie tę cechę nowości. To go zaprowadziło do opisu rozległéj galeryi postaci XVIII wieku, to przywiodło do układania niewymownie pracowitych tablic historycznych, to natchnęło myślą pisania dziejów obrządku wschodniego na Rusi, to skierowało do odwzorowywania nietkniętych prawie ręką badacza dziejów wewnętrznych prowincyj składających dawną Polskę. Jakby rozmyślnie rzucając bity gościniec, darł się przez chwasty i ciernie, by prawdzie historycznéj nowe otwierać widoki. Pomimo tego, bystrość objęcia i bezprzykładna pracowitość w jednym kierunku sprawiły, iż Bartoszewicz należał u nas do rzędu najpłodniejszych pisarzy. Wszystkie jego prace drukowane i pozostałe w rękopiśmie, gdyby je razem zebrano, mogłyby utworzyć jakie trzydzieści lub czterdzieści grubych tomów. W saméj *Encyklopedyi Powszechnéj* S. Orgelbranda znajduje się około 178,000 wierszy napisanych przez Bartoszewicza, kiedy cała *Iliada* liczy ich ledwo około 20,000.

Niewszystko zapewne co napisał Bartoszewicz równą zaleca się wartością, nie wszystko się wznosi nad wszelką krytykę: dziwićby się raczéj należało, gdyby przy takim ogromie pracy i ciągłém gorączkowém natężeniu umysłu było inaczéj. Puszczając jednak mimo siebie rzadkie i drobne usterki w szczegółach, a zwracając tylko uwagę na ogół działalności tego pisarza, można powiedzieć, iż wszystkie zboczenia jego płynęły z jednego źródła—z nieznajomości żywéj natury i żywych stosunków ludzkich. Jakkolwiek otoczony ruchliwym żywiołem wielkiego miasta, jakkolwiek z obowiązku nauczycielskiego zniewolony do nieustannéj styczności z młodzieżą, Bartoszewicz żył prawie samotnie, a jeżeli z obrębu samotności wychodził, to niemal wyłącznie dla kolegów po piórze, mniéj więcéj takich samych jak on teoretyków książkowych. Widywano go nieraz na ulicach Warszawy z rozwartą książką przed oczyma a na rzadkich przechadzkach zamiejskich dla zażycia świeżego powietrza, książka go tylko zajmowała. Słyszeliśmy od jednego ze wspólnych znajomych, że pewnego razu przemocą prawie wywieziony dla wytchnienia w Podlaskie, postrzegłszy włościan składających mieszankę, dowiedziawszy się pierwéj co robią, zapytywał następnie wskazując rozesłany na ziemi jałowiec, co to za zboże? Owoż ta nieznajomość żywéj natury, pomimo żartkości i dosadności stylu Bartoszewicza, odejmowała jego obrazom plastyczność i wyrazistość zarysów, czyniła je mniéj więcéj mglistemi; znajomość zaś ludzi przeważnie tylko z książek, prowadziła do zbytniéj doraźności w sądach. Postaci bowiem historyczne widziane z oddalenia zawsze się wydają jakby automaty poruszane jedną sprężyną, kiedy tymczasem na ludziach żyjących widzimy wpływy najsprzeczniejszych okoliczności, co koniecznie pociągać musi pewną powściągliwość w wyrokowaniu o ich czynach.

Bartoszewicz z przekonania politycznego był demokratą w ścisłém tego słowa znaczeniu, a zarazem był najgoretszym wyznawcą kościoła katolickiego. Połączenie tego dwojga może się wydać nadzwyczajnością w oczach niedonoszonych liberalistów, kształcących się politycznie na *Gazecie Szlązkiéj* lub *Nowéj Swobodnéj Prassie* wiedeńskiéj; tak jednak było w umyśle Bartoszewicza, i dodajmy, nie było niczém nadzwyczajném w rozległém kole wyobrażeń ludzkich. Te właśnie dwa punkta wytyczne stanowiły dla naszego badacza sprawdzian przy ocenianiu postaci i wypadków historycznych. To mu dawało zawsze oryginalny a częstokroć nader trafny punkt wyjścia w szacowaniu przeszłości, ale zarazem niekiedy prowadziło do takich zboczeń, jak apoteoza Zygmunta III a nieubłagane poniewieranie historyka tego króla biskupa Piaseckiego, jak ryczałtowe niemal potępienie pisarzy wyszłych ze szkoły XVIII wieku i t. p. Znając wszakże punkt wyjścia badacza, a wiedząc, że ustawicznie był mu wierny, nietrudno te zboczenia sądu obrachować i sprostować w potrzebie. Dla astronoma zegar śpieszący lub spóźniający się regularnie, nie jest wcale złém narzędziem; nieprzydatnym do użytku jest tylko taki, który to się spóźnia, to śpieszy na przemiany. To samo rozumieć należy i o sprawach umysłu ludzkiego.

Zmarł Julian Bartoszewicz dnia 5 listopada 1870 r. w Warszawie i pogrzebiony na Powązkach. Strata jego w 50-m roku życia, kiedy zaledwo stanął u szczytu dojrzałości sądu i wiedzy, jest niepowetowana. Publiczność która ze stron blizkich i dalekich zniosła składki na pomnik dla niego, uczciła wedle słuszności prawdziwą zasługę i sama o sobie dobre złożyła świadectwo. Z tego cośmy kochali, co czcią za życia i po śmierci otaczali, co czci potomnych przekazywali, sądzić nas będą w przyszłości, jak sądzą dzisiaj Greków i Rzymian ze świątyń, posągów, napisów grobowych i malowideł pompejańskich. *W. Korotyński.*

KOŚCIOŁEK WIEJSKI
W SANDOMIERSKIM.

Uroczyste świąteczne słońce opromienia blaskiem pełnym powabu chwilę południa letniego, pośród którego poważne ciemne ceglane mury, świeża zieloność drzew i swobodnie ugruppowane gwarzące grono wychodzących z kościoła, składają się na całość czyniącą wrażenie na każdego patrzącego. Słusznie więc to dzieło sztuki doznało losu innych odznaczających się wyższemi zaletami artystycznémi, zostawszy zakupione w roku bieżącym przez Komitet Tow. Z. S. P. w Warszawie do zbiorów towarzystwa.

Obraz ten w roku zeszłym znajdował się na międzynarodowéj wystawie sztuk piękn. w Londynie, gdzie został zaszczycony medalem srebrnym.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Na Dziś, pismo zbiorowe, poświęcone literaturze, naukom, sztuce, gospodarstwu krajowemu, handlowi i przemysłowi. Tom I. Kraków 1872, str. 446.

Ciąg dalszy. (Ob. Nr. 35).

Nadzwyczaj zajmujący jest ustęp o postępowaniu Franka z uczniami w klinice. Bardzo prędko poznawał on zdolności ich i usposobienia. Tym, których szacował, w nagrodę pilności i w oznakę zaufania, najtrudniejsze zawsze zadawał prace, najcięższe lub rzadsze powierzał im w pieczę choroby. Kazał sporządzić ozdobnie oprawioną księgę złotą albo wzorową (liber normalis), w którą dozwalał celującym uczniom wpisywać wybrańsze historye chorób, za przykład innym podawane. Nigdy żaden patrycyusz wenecki tak się nie pysznił, gdy jego nazwisko w złotą księgę było zapisane... Oburzał się na tak zwane *odstępowanie chorych*, jak gdyby lekarzowi godziło się odstępować chorych, pokładających w nim zaufanie, o których pieczę raz już przyjął na siebie!... Osłodzenie cierpień, przeciągnienie życia do odleglejszego kresu, uzbrojenie męztwem długo i upornie walczących ze śmiercią—te są smutne obowiązki, jakie lekarzowi w ostatecznym razie do spełnienia zostają. Nikt téj sztuki w wyższym od Franka stopniu nie posiadał, ani téj powinności z większém i prawdziwszém współczuciem nie wypełniał.

Obok prawideł naukowych sztuki, Frank udzielał wychowańcom swoim tysiącznych przestróg co do obejścia się z chorymi, tysiącznych rad co do zachowania się lekarza z osobami różnego stanu i wykształcenia, wielorakich szczegółów na pozór mało ważnych, od których jednak pozyskanie ufności, wyśledzenie przyczyn choroby i sam pomyślny wypadek leczenia zależeć może. Żałujemy, że brak miejsca nie pozwala nam powtórzyć tych złotych rad, pokazujących jak daleko zachodziła, do jak drobnych częstokroć i błahych na pozór rzeczy rozciągała się ojcowska jego troskliwość.

Nakoniec Dr. Homolicki wiernie i bez ogródek przytacza celniejsze uwagi Franka (w zakresie hygienicznym i lekarskim mianowicie), nad ówczesnym stanem uobyczajenia kraju. Frank zarzucał Litwinom życie nad stan, poświęcanie rzeczywistych wygód błyszczącym pozorom, niewstrzemięźliwość, przywarę zaciekłego pieniactwa (sprowadzającego nieraz choroby serca), przesądną wiarę w owczarzy, olejkarzy i plagę ulicznego żebractwa. Nie należy atoli zapominać, że od wyjazdu Franka w r. 1823 wiele się już rzeczy na lepsze u nas przemieniło i coraz przemienia.

Oczekując z niecierpliwością dalszego ciągu artykułu Dra. Homolickiego, nie możemy zataić zdziwienia: dla czego autentyczne pamiętniki Franka pozostają dotychczas niewydane?

Dział filozoficzny pisma „*Na Dziś*" zawiera rozprawę Bron. Ferd. Trętowskiego p. t. „Hegel i Kremer". Pośmiertna ta rozprawa ma znaczenie już tylko historyczne, i właściwie powinnaby figurować w piśmie „Na Wczoraj"... Obecnie za podwalinę każdéj nauki (a przecię filozofia ma być nauką nauk) uważane są *fakta*. Na faktach wznosimy *prawa*; na prawach budujemy teorye. Nikt nie zaprzecza psychologii, logice lub meta-

fizyce cech naukowych: lecz każdy rozumie, że roszczenia spekulacyi metafizycznéj do zbudowania prawdy bezwzględnéj, roszczenia nieoparte na faktach ani na prawach bytu, są co najmniéj przedwczesne. Zkądinąd, dalecy od arrogancyi grubego materyalizmu, z szacunkiem i upodobaniem śledzimy na polu metafizyki hypotezy i spostrzeżenia,—a jedną z olbrzymich, istnie cyklopich na polu tém potęg jest bez wątpienia autor „Myślini". Oryginalność pomysłów, malowniczość ich wyrażenia i niesłychana moc dyalektyki, stawiają go wyżéj nietylko od myślicieli polskich, lecz od niejednego z głośnych filozofów berlińskich lub hejdelberskich. Wzgląd ten zniewala nas do streszczenia artykułu, o którym mowa, z poszanowaniem najczęściéj wyrazów samego autora.

Przedmiotem rozprawy jest rozbiór krytyczny dzieła p. t. „Wykład systematyczny Filozofii i. d." Dra. Józefa Kremera, a raczéj gorąca i bezwarunkowa pochwała jego. „Jeżeli głos mój, woła krytyk—płaci co u ziomków, zwracam uwagę ich na księgi te; ganię dotychczasową obojętność dla nich, a wołam i upominam z oddali: „czytajcie"! Kto w pismach tak wysokiego polotu duchowego i takiéj wartości nie smakuje; wpada, zaprawdę, w podejrzenie jałowości lub ubóztwa własnego ducha".

Czémże więc praca Kremera tak ważna?—Silném umiejętności już danéj a wszechwładnie panującéj ujęciem; powstrzymaniem jéj na drodze, która wiodła ród ludzki wprost do bezdennéj przepaści, i nadaniem jéj innego kierunku. Kremer, opierając się na Heglu, zadławia na końcu panteizm jego pogański i odsłania na wysokości najwyższéj „Boga osobistego;" pracuje więc zwycięzko i gruntownie około chwały chrześciaństwa; a choć nie przynosi sam nic nowego, zamyka świat stary, a otwiera nowy, uderzający czołem, nie przed bałwanem świata tego, jak dotąd, ale przed „Bogiem istnym żywym". Kremer przeobraża Hegla z mocarza pogańskiéj Minerwy w odźwiernego bram wiary. Hegel u siebie jest, czém się zrobił sam, t. j. panteistą; a Hegel w Kremerze jest tém, w co przerobił go Kremer, t. j. chrześcianinem. Heglowska „idea bezwzględna" nie może zadawalać, jeżeli uważana będzie za ostateczny kres filozofii; idea ta nieosobowa, jak niezaspakaja serca pełnego prawd wiary chrześciańskiéj, tak nie wystarcza również dla myśli filozoficznéj, rozwijającéj się z całą ścisłością logiczną. Idea bezwzględna nie jest ostatnią kategoryą logiki, nie jest ostatniém słowem filozofii. Szczytem najwyższéj mądrości ludzkiéj nie jest abstrakcya, ale „Osoba bezwzględna, Bóg." Otoż Trętowski okazuje, iż Kremer pogodził filozofię Hegla z chrześciaństwem lecz zarazem, ponieważ niemożebnésć zmożona pomścić się nad nim musiała, dopiął i tego, o czém nie myślał wcale, ale co wynikło samo przez się, jako nieubłagana konieczność, t. j. iż mając do czynienia z filozoficzną treścią sobie daną i uchrześcianszczając ją wszędy, przełamuje Hegla samymże Heglem, obraca przeciwko niemu własny jego oręż, trzymając go ciągle w najżyczliwszéj dłoni, i zadaje tym sposobem nauce jego, którą sam pielęgnuje, śmiertelny cios.

Niepodobna inaczéj ocenić Kremera, tylko stawiąc go podle Hegla i wykazując, jak niesłychanie wielka pomiędzy nimi różnica. Autor czyni to krótko, poczynając od Hegla.

Hegel tak naucza: Istotą wszystkiego, co było, jest i będzie, co się staje i dzieje, co się myśli, czuje i działa, jest „Idea bezwzględna". Jest to jedność subjektu i objektu, pojęcia w osobie siebie świadoméj i pojęcia nieświadomego we wszechświecie, czyli jedność myśli mojéj i myśli stanowiącéj we wszelkiéj rzeczy osnowę i miazgę. Trętowski tłómaczy „objekt" przez „przedmiot"; „subjekt" zaś nazywa „podmiotem" jedynie wtedy, gdy rozumie się pod nim myśl ogólną, w rzeczach obecną i siebie nieświadomą, lub powszechnego ducha bez własnego przeświadczenia. W człowieku np. „przedmiotem" jest ciało, a „podmiotem" dusza, z duchem ogólnym związana, nieosobista. Jeżeli zaś „subjekt" oznacza nietylko myśl, ale i przeświadczenie osobiste, lub człowieka wewnętrznego, myśl tę wypowiadającego, słowem tyle co „Ja", wtedy przepolszcza go „kmiotem." Zaczém Heglowska idea bezwzględna, to jedność kmiotu i przedmiotu, przenikająca wszechistnienie, lub jedność myśli świadoméj siebie i myśli nieświadoméj siebie; jedność wiedzy osobistéj i wiedzy nieosobistego bezmiaru rzeczy, pojęcia i zjawiska istoty, słowa ludzkiego i bożego. „Przedmiot" lub „ogół" jest to przędziwo przedwieczne, z którego uprzędzion i utkan jest wszechświat, kmiot zaś—nić jedna z przędziwa tego wydobyta, forma, którą przyjmuje powszechna treść wszędzie i zawsze. „Ruch myślenia wiekuistego", sprawujący stworzenie, rozwój i pochód świata, zależy na tém, iż „przedmiot" staje się co miejsce i co chwila kmiotem innym, a kmiot ten, odbywszy przeznaczenie swoje, obraca się napowrót w „przedmiot", z którego znowu wynijdzie; czyli iż „ogół" wyczynia się przez nieskończenie mnogie „pojedynki" (w języku Petrycego), t. j. pojęcia, rzeczy i osoby, które wszystkie wracają do „ogółu", ażeby wydostać się zeń na nowo w postaci innéj. Przedmiot sam, oderwany od kmiotu, nic nie waży, albowiem to treść wszystkiego głucha, nieumiejętna, niewiedząca o sobie. Podobnież kmiot sam, z przedmiotu wszelkiego wyzuty, nic nie jest; ponieważ byłby świadomością bez treści, zaczém i bez bytu w sobie, rozpływającą się przez to samo w czcze nic. Dla tego nie kmiot, ani przedmiot sam, ale „kmiot-przedmiotowość" i w całości i w każdéj istnienia cząstce jest prawdą lub ideą bezwzględną.

Idea bezwzględna (uczy daléj Hegel) wyjawia się tak na łonie wszechświata, jak w umiejętności, w trzech wielkich dzielnicach. Najprzód: jako Logika, będąca ideą czystą; słowem, mającém przeobrazić się w ogromne ciało, we wszechświat; przedświatem, ofiarującym nasienie dla świata; tém, co nazywać się zwykło Ontologią. Powtóre: jako „Filozofia natury", ukazująca się i wewnątrz przyrodzenia i w umiejętności „ideą nieczystą," od siebie saméj odpadłą, w innobyt własny przelaną, słowem logikę uzewnętrzniającą się we wszechnicy rzeczy. Potrzecie: jako „Filozofia ducha," wyświecająca się i w człowieczeństwie i w umiejętności „ideą powracającą z za siebie do siebie," lub ze świata do logiki, godzącą myśl z rzeczą, świadomość z nieświadomością, słowem logiką w postaci ducha. Tutaj wydobywa się w końcu na widnią „Duch bezwzględny." Idea bezwzględna bowiem na łonie logiki zapada w „kmiotowość" własną, na piersiach świata znowu w „przedmiotowość;" zaś w duchu, o którym rzecz, wyczynia się w pełni „kmiot-przedmiotowości" swojéj.

Duch ten jako bezwzględny, ukazuje się „rozumem bezwzględnym." Wiedza jego także bezwzględna. On prowadzi stworzenie świata i dzieje. Ztąd wszystko, co jest, jest rozumne. Najprzedniejszym, bo świadomym siebie wyrazem jego „umiejętność ludzka." — Idea bezwzględna w ogóle, to Bóg. Idea ta w logice, będącéj stwórczém dla wszystkich słowem, jest Bogiem Ojcem; idea taż sama, utopiona w przyrodzeniu i będąca jego jądrem, jest Bogiem Synem; idea ta sama wreszcie, wymawiająca się przez Ducha, jest Duchem Świętym. Trójca ta przenika wszystko. Ona „wiekuiste Prawo."

Sprawdzianem umiejętnym, twierdzi następnie Hegel, dla wszelkiéj rzeczy jest „pojęcie," jako jéj istota, a „pojęcie" to zamyka w sobie ideę bezwzględną we trzech jéj stanach. Wszelka więc rzecz, chcąc zrównać pojęciu, występuje jeden raz „w sobie," lub pierwiastkowéj jedni z sobą, drugi raz „za sobą," a trzeci raz „w powrocie do siebie," kędy otrząsa się z innobytu swego i staje się jednym z promieni ducha. Pojęcie, a z niém idea bezwzględna, zamienia się w „ucz" i „sacz" (metodę i dyalektykę) umiejętną.

Ucz i sacz ta podaje wszelki przedmiot, jako jeden z wyczynów coraz pełniejszych i prawdziwszych idei bezwzględnéj. Zapatruje się nań przez szkiełko pojęcia, i oto odkrywa w nim trzy stanice, w których na pierwszéj jest on „w sobie", na drugiéj „za sobą," a na trzeciéj, „z powrotem do siebie." Na każdéj z tych stanic przedmiot staje się przedmiotem innym, a ledwie że się obaczył jako ustrojna całość, ogląda się jedném tylko czegoś innego ogniwem, które porodził sam podczas własnego wzrostu i rozwoju. Przepływa więc w tę odwrotność, która ukazuje znowu trzy pomienione wyżéj stanice, zaczém i trzy przedmioty nowe, a na końcu widzi, jako porodził tu coś trzeciego, kojarzącego w sobie dwie odwrotności dane, a porodzającego znowu przedmiot dalszy. Tak toczy się umiejętność Hegla przez logikę, filozofię natury i filozofię ducha, oraz przez mnogie ich rozdziały i drobne części. Każde ogniwo czepia się ogniwa poprzedniego i następnego. Ponieważ tu wciąż jedno poradza drugie, przeto Ucz i Sacz ta przezwana została „porodną" czyli „genetyczną".

(*d. c. n.*)

Wydawca, Hipolit Orgelbrand. Дозволено Цензурою, Варшава 24 Апрѣля (6 Мая) 1872 г. **Redaktor,** Mieczysław Orgelbrand Mag. Pr. i Adm.

w Drukarni S. Orgelbranda Synów, w Warszawie ulica Bednarska Nr. 20.